

Ja – jutro, ja – teraz, ja – wczoraj?

Tomasz Miłkowski



To kluczowe pytanie, które fascynowało Jolantę Lothe, współtwórczynią wraz z Piotrem Lachmannem Videoteatru POZA. Kto jest pierwowzorem, a kto kopia, a może lepsza była kopia od pierwowzoru?

Mają teatrzyk Lothe i Lachmanna poddawał sprawdzianowi całą utrwaloną tradycję teatru i próbował znaleźć nową formułę więzi z widzami, który w epoce wszechobecnej dominującej telewizji nie czuł się już dobrze w dawnym, realistycznym teatrze. Teatr panujący nie dostrzegał wtedy, że świat się zmienia radykalnie. Triumfalny pochód elektroniki niósł nowe wyzwania cywilizacyjne, obyczajowe, ale i estetyczne. Coś z tego przecież musiało wynikać dla teatru. Tak uważał Lachmann.

Jolanta Lothe (1942-2022), która zmarła na tydzień przed swymi osiemdziesiątymi urodzinami, wkroczyła w świat tego teatru z zapalem i bez reszty. Do roku 1982 pracowała w zespole Teatru Narodowego, zdobywała publiczność jako aktorka telewizyjna i filmowa. I nagle sama wypisała się z głównego nurtu życia teatralnego, stając się współzałożycielką Videoteatru, w którym występowała w towarzystwie swoich elektronicznych sobowtórów. Sama komponowała większość materiału audiowizualnego ze swoim udziałem. Fenomenowi jej odkrywczego aktorstwa w Videoteatarze osobny film poświęcił po latach Lachmann, a w tym tygodniu (22 kwietnia 2022) Instytut Teatralny zaprosił na wieczór dedykowany jej pamięci „JA TO GRAŁAM JUTRO!” | IN MEMORIAM JOLANTA LOTHE.

Kiedy rozpoczynała nową przygodę w Videoteatrze POZA, trwającą, bagatelą, ponad trzydzieści lat, nic jeszcze nie wskazywało, że przed parą poszukujących artystów rysuje się nowy teatralny kontynent. To nie było tak, że pewnego dnia usiedli i postanowili przewrócić teatr do góry nogami i zainaugurować nową epokę. Po prostu chcieli na swój własny sposób zatrzymać na taśmie doświadczenie teatralne Helmuta Kajzara, zmarłego przedwcześnie męża Jolanty Lothe i przyjaciela Piotra Lachmanna, eksperymentującego dramaturga i reżysera. W spektaklach Kajzara Lothe grywała wcześniej, towarzyszyła jego zmaganiom z materiałem tekstu i formą teatru, a kiedy go zabrakło pragnęła iść dalej tą drogą. Początkowo miał więc powstać film, a może kino-teatr, nawiązujący do słynnego dramatu Kajzara „Gwiazda”. Ruszyli z Lachmannem w podróż po różnych miastach Europy. Grecja była ich ważnym przystankiem, to przecież tutaj rodził się europejski teatr. Wszystko układało się pomyślnie, zgodnie z planem, ale ukradli im kamerę filmową, a o drugiej próżno było marzyć. Kamerę filmową zastąpiła amatorska kamera video i to okazało się odkryciem Kopernikańskim videoteatru. Przypadek sprawił, że zamiast filmowego powstał zapis video z legendarnego Epidaurus, monumentalnego amfiteatru z niezwykłymi walorami akustycznymi. Tak doszło do narodzin ich pierwszego videospektaklu „Akt-orka”.

Nie wiem, kiedy to było, ale pierwszy raz zobaczyłem spektakl Videoteatru POZA na Elektoratnej w Domu Kultury (dziś to siedziba Mazowieckiego Instytutu Kultury). Było nas może piętnaścioro, może trochę więcej, siedzieliśmy na długich drewnianych ławkach jak w sali gimnastycznej, salka była niewielka. Występowała przed nami Jolanta Lothe i rozmawiała z monitorami, a może to monitorzy z nią rozmawiali, prawdę mówiąc dialogowała z obrazami samej siebie, zanotowanymi wcześniej i gdzie indziej – wszystko to było bardzo dziwne i jeszcze nieoswojone. Nie wiadomo było wówczas, co z tego się narodzi i jakie będą tego zabiegu-eksperymentu konsekwencje.

Potem obcowanie z monitorami rozpełniło się w teatrze, choć niekoniecznie w takim duchu, o jakim myśleli twórcy teatru Lothe-Lachmann. Często gęsto video stawało się stemplem nowoczesności w spektaklach z nowoczesnością niewiele mających wspólnego.

Ten pierwszy raz, kiedy zetknąłem się z twórczym działaniem nowego teatru, był bez wątpienia spotkaniem z początkującym ich pracę spektaklem „Akt-orka” albo „Aktorka”, zależy jak to wymawiać i zapisać. „Akt-orka” podzielone na dwa słowa miało oznaczać, że ten akt twórczy jest jakąś orką, wymagającym wielkiego nakładu sił wysiłkiem, mozołem bez widocznego kresu, że jest jakimś ciągłym doszukiwaniem się czegoś innego, nieznanego.

Podobnie dwuznaczna była nazwa teatru, który właśnie powstawał: Videoteatr POZA. Wynika to nawet z definicji słownikowej słowa „poza”, które jako rzeczownik oznacza udawanie, przedrzeźnianie, uchodzenie za kogoś innego, ale jako przymek oznacza „bycie nie w jakimś obrębie, ale za jego granicami, czyli poza”. W nazwie Videoteatru raczej chodzi o to drugie znaczenie – Jolanta Lothe i Piotr Lachmann wpiswali się w własnego wyboru poza nurt główny, poza główny obieg, biegnący obok tradycyjnego. Oni byli samoswoi. Obserwowali wszystko, co się dzieje, nawet z bliska, ale nie byli uczestnikami tego głównego nurtu, raczej jego komentatorami, pozostającymi w pewnej do niego opozycji. Czyli wyznaczyli sami sobie nową, odrębną rolę w życiu teatralnym. Jednak nie po to, aby zaskakiwać. Cel, jaki im przyswiecał zauważył przed laty Wiesław Myśliwski: „Instytucja Jolanty Lothe i Piotra Lachmanna jest teatrem wyjątkowym, bo to nie jest eksperyment dla eksperymentu: służy przesłaniu moralnemu, pobudza wrażliwość widza i jego sumienie (...)”.

Chcieli być odrębni. Zaczęło się od tekstu Kajzara, ale doszła zupełnie inna scenografia, liczne materiały wideo kręcone w różnych miejscach, trudno było więc uznać, że to kolejne wystawienie sztuki Kajzara tylko w specyficznej formie. To był eksperyment, ale materiał nęcący na tyle, że dyrektor Zygmunt Hübner dał zgodę na jednorazowy, bez mała konspiracyjny pokaz na małej scenie warszawskiego Teatru Powszechnego (czerwiec 1985). „I o dziwo, ta mała scena wyglądała jak mały amfiteatr”, wspominała Jolanta Lothe. Mielł wtedy do dyspozycji zaledwie dwa telewizory, ale to wystarczyło, aby powstała zaskakująca kompozycja. Jolanta Lothe tak to widziała po latach: „Ja puszczałam kasety i komentowałam je i dawałam życie moim kwiom na ekranach”. Tak się rozpoczęło jej życie w wielu wersjach i odbiciach.

Wariacje „Akt-orki” było wiele, a każda wносиła coś nowego, razem zagrała ten spektakl bodaj 350 razy – tyle było więc ucieleśnień akt-orki. „Gwiazda” była jej głównym budulcem, choć scenariusz obejmował inne dramaty i teksty Kajzara, m.in. jego adaptację „Antygony” Sofoklesa, słowem był to spektakl odrębny od teatru „meta-codziennego” Helmuta Kajzara, zakorzenionego w rzeczywistości realnej ale z nadładkiem metafizycznym. On eksperymentował ze słowem, oni z obrazem. Jemu zależało na doszukiwaniu się nowych znaczeń w języku. Im towarzyszyła raczej intencja stworzenia nowej sytuacji odbiorczej, związanej ze zmianą postrzegania świata przez widzów właśnie ze względu na upowszechnienie telewizji.

Po tym pierwszym kolej przyszła na wiele kolejnych kompozycji – rosła liczba monitorów, gęstniała płatanina kabli, pojawiali się z czasem na ekranach i na żywo dodatkowi aktorzy. Rodziły się nowe pomysły i scenariusze. Każdy spektakl stawał się świadectwem nowych poszukiwań tak jak choćby w „Hommage à Różewicz”, czwartym bodaj ich spektaklu poświęconym wielkiemu poecie i dramaturgowi, zaprzyjaźnionemu z Videoteatrem POZA. Naoczne działanie aktora/ki bywało tu przetwarzane w działanie pośredniczone kamerą – obrazy z udziałem aktorki / aktora, Lachmann multiplikował, przetwarzał, mieszał. Często plan żywy łączył się z planem przekazywanym za pośrednictwem kamer, usiłując przełamać granicę między żywym i martwym albo żywym na inny sposób, bo w postaci wirtualnej, fantomowej.

Jolanta Lothe jako Stara Kobieta porusza się w maszynym siedzisku, przesuwając na wstając, ale wykonując poszczególne ewolucje ciała, aby z łomotem pokonać następne centymetry. Ta walka ze stawiającą opór materią wzmacnia niepowstrzymany pęd Kobiety do płodzenia. Poeta Różewicz, obecny na ekranie, komentuje: ten niezrozumiały przyrost masy wbrew logice wciąż trwa. Poeta z fascynacją oddaje hołd okrucieństwu płodzenia mimo wszystko – wbrew pustce i wbrew mętnym perspektywom na przyszłość.

Kilka lat temu Videoteatr POZA, uważany przez Richarda Demarco, guru offowego festiwalu teatralnego w Edynburgu, unikatowym zjawiskiem w skali światowej, przestał istnieć. Wobec obojętności mecenasów i sponsorów jego twórcy pozostali bezradni. Teatr zniknął po cichu, nie towarzyszyły temu ani lamenty, ani protesty. Bardzo to jego twórcy przeżyli. Chociaż Jolanta Lothe trzymała fason. Spotykaliśmy się już po zamknięciu teatru od czasu do czasu w naszej osiedlowej „Biedronce”. Pytałem wtedy, czy jeszcze myśli o POZA, czy utrwała jego dorobek. Odpowiadała, że już się tym nie zajmuje, Piotr Lachmann, on tak, on to bardziej przeżywa, ale ona jest już gdzie indziej i nie myśli o przeszłości. Tak mówiła, ale jej nie wierzyłem. Sprawiała wrażenie aktorki poważnej, natchnionej, oddanej swojej sztuce. Stara Kobieta, o której wspominałem, to była wielka rola – nie była ani młoda, ani stara, ale w każdym wieku, kobieta-mit, zawsze gotowa rodzić. Uprawiała aktorstwo kreacyjne – odrywała się od swoich naturalnych predyspozycji – szukała znaków, które byłyby metaforą. Jedno jest pewne: i na żywo, i jako wirtualny awatar zawsze była oryginałem, a nie kopia.

Podziel się:



Poprzedni **Walcmy dziełem, nie działem** Następny **Chiński program kosmiczny po zakończeniu misji Shenzhou-13**

Walcmy dziełem, nie działem

Dariusz Łanocha



Wielki smutek mnie dopadł, gdy siadłem do pisania tego felietonu. Wyście się radowali Chrystusa Zmartchwtaniem, laliście się wodą w śmigusa – dyngusa, odwiedzaliście krakowski Emaus, uporządkowany kulturowo przez Krakowskie Forum Kultury i Krakowskie Biuro Festiwalowe, a ja w świętokrzyskiej guszy okiem i słuchem w wojenkach uczestniczyłem. Kulturalnych, rzecz jasna, choć w tle oczywiście, zawsze usłyszeć można było barbarzyński napad Putina na Ukrainę.

W moich kulturalnych wojenkach wiele cenniejsze jest wystawienie dzieł przeciw działom. Dzieła wystrzelić potrafią kulturą i celnie trafić w mózg inteligentnie dorozwiniętych, działa zaś są jedyną bronią pospolitych zbrodniarzy. Wydaje im się, że zabijając, kradnąc, gwałcąc, ludzkości ulgę przynoszą. Bzdura to jest absolutna.

Chećcie wiedzieć skąd ten mój osąd aż tak krytyczny? Już Wam piszę. W świątecznym czasie, w świętokrzyskim lesie, znalazłem dłuższą chwilę, po poważnej temacie w tym zajęć od literackiej strony. Zmierzyłem się w końcu z dziełem Anthony Doerrra „ Światło, którego nie widać”. Wiele o nim wcześniej słyszałem (nagroda Pulitzera to nie byle co!) czasu jednak brakowało, tym bardziej, że świadomość konieczności przedarcia się ze zrozumieniem przez 635 stron lektury była mocno obciążająca i zniechęcająca. Nie wstyd się przyznać. Durny byłem, że tak długo oporny wobec tej książki pozostawałem, że ją lekceważyłem, że potraktowałem bardzo dobre pióro i literacko – dramaturgiczny zamysł, jako byle co. Jeżeli już coś ulgę wewnętrzną samokrytyki mi łagodził, to fakt, że dzieło Doerrra zaliczałem w czasie, gdy działa Putina ukraiński Mariupol demolowały. „Światło, którego nie widać” to fascynująca i wciągająca opowieść o tej ostatniej z największych wojen. W największym skrócie Wam opisując, i niczego nie spojlerując, informuję, że akcja cała powieści dzieje się w historycznym miasteczku nadmorskim francuskim Saint – Malo w latach 1934 – 2014. Najwięcej miejsca zajmują w tym okresie wydarzenia z II wojny, gdy urokiwemu miejscu w Europie przyszło przeżyć ważny moment, a w kilka lat później alianckie odbicie z rąk wroga, także z bombardowaniami Połczy. Jest to jednakże, której agnieszki bohaterkami są niewidoma dziewczynka z Francji, i podobny żołnierz Trzeciej Rzeszy – nie raz trafia także na teren współczesnej Ukrainy, w akcji książkowej biorą udział wojacy z Francji, Anglii, USA, Polski, Niemiec, a także Rosjanie. Co tu długo pisać – na kartach tej epopei przeczytacie jak olbrzymim barbarzyństwem wtedy się wyróżniali, jak ludzi traktowali, jak brak człowieczeństwa ujawniali.

Bombard Doerr wystawiał swoje dramaturgiczne patentów, był smutem czasów wojny czytelniczo uatrakcyjnić. W tle bohaterami jest wojna o diament, jest historia Francji i Niemiec, jest miłość do radia i muzyki, jednym słowem Wam streszczając, jest w tej książce wszystko co trzeba, by Czytelnik był zadowolony, a jury Pulitzera mogło prestiżową Nagrodę Pulitzera przyznać. Jest tym bardziej zasłużona, że Anthony Doerre to niespełna 50 – latek, Amerykanin, który wojennej Europie nie doświadczył. A jak już zechciał czasów wojny pojąć, pisał swoje dzieło 10 lat! I powstało dzieło jak najbardziej faktograficznie, czytelniczo, historycznie i literacko znakomite.

Choć w innej kategorii, na kolejną wojenkę udałem się w towarzystwie Tiny Turner, i jej autobiografii „ My love story”. Kiedy tylko wydana w 2022 roku książkę, w obfitych księgozbiórach Biblioteki Kraków (korzystajcie i darmowo dzieła czytajcie) , dostrzegłem, natychmiast ją na Wielkanoc wypożyczyłem, gdyż wielka ciekawość mną kierowała. Tina Turner, to przecież dla wielu (dla mnie też!) królową rock and rolla, ikoną muzyki pop, uosobienie młodości, urody, talentu, popularności. A tu od kilku lat o Wielkiej Tinie cicho sza, ani widu słychu. Co się z nią dzieje? Z tego rodzaju ciekawością zaatakowałem od lektury. Rychło tajemnicę poznałem. Jest to wojna o jej zdrowie, które zaparkowały rok jej, nerka, wiele innych dolegliwości. Amerykanka Tina wojnę swoją prowadzi od dekady, całkiem niedaleko, w Szwajcarii, którego została obywatelką. I wcale nie podatkowe obowiązki były tego powodem, tylko drugi małżonek, Niemiec, z którym po wielu latach miłości – ślubnie się związała.

Jest w tej autobiografii wiele o wojnie z pierwszym jej mężem, Ike Turnerem, który wprowadził wokalistkę na gwiazdorską scenę. Za jej kulisami był bezwzględny tyranem, gwałcicielem, narkomanem itp. Taki Putin w świecie kultury. Tina Turner musiała podjąć z nim walkę, o szczegółach której wiele poczytacie. Dowiedzie się też, jak trudny był los czarnoskórych artystów w czasach apartheidu i męskiego szowinizmu, ile siły charakteru trzeba wykazać w walce z tym zjawiskami, na kogo w świecie kultury można liczyć (Mick Jagger zawsze!) . Opowieść Tiny Turner czyta się jednym tchem, to gwiazda, która nie gwiazdorzy, gdyż nie musi. W moim uchu i sercu gwiazdą była jest i będzie. I basta!

Podziel się:



Poprzedni **Trumpizm może wrócić** Następny **Ja – jutro, ja – teraz, ja – wczoraj?**



Najnowsze

Prawda o Gierku
25 kwietnia 2022

Wio Lewica chce bezpiecznej Polski w Zjednoczonej Europie
25 kwietnia 2022

Maria Andrejczyk zmieniła trenera
25 kwietnia 2022

Kara dla mistrza z Tokio
25 kwietnia 2022

Fury powalili Whyte'a na Wembley
25 kwietnia 2022

Portugalski setnik w polskiej ekstraklasie
25 kwietnia 2022

Ostatnie starcie Lewego z Haalandem w Bundeslidze
25 kwietnia 2022

Świątek wygrała w Stuttgarcie
25 kwietnia 2022

48 godzin sport
25 kwietnia 2022

Polskie ślady azerbejdżańskiego katolicyzmu
25 kwietnia 2022

Najnowsze

Prawda o Gierku
25 kwietnia 2022

Wio Lewica chce bezpiecznej Polski w Zjednoczonej Europie
25 kwietnia 2022

Maria Andrejczyk zmieniła trenera
25 kwietnia 2022

Kara dla mistrza z Tokio
25 kwietnia 2022

Fury powalili Whyte'a na Wembley
25 kwietnia 2022

Portugalski setnik w polskiej ekstraklasie
25 kwietnia 2022

Ostatnie starcie Lewego z Haalandem w Bundeslidze
25 kwietnia 2022

Świątek wygrała w Stuttgarcie
25 kwietnia 2022

48 godzin sport
25 kwietnia 2022

Polskie ślady azerbejdżańskiego katolicyzmu
25 kwietnia 2022